



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Amelia Łobaszewska

## W Grodzisku Mazowieckim

Dnia 1 września 1939 roku matka moja 39-letnia wraz ze mną, 5-letnią dziewczynką, wracałyśmy z miasta z zakupów do domu – a mieszkaliśmy z całą rodziną (matka, ojciec i sześcioro dzieci) w Grodzisku Mazowieckim, 2 kilometry od miasta. Nagle usłyszałyśmy od przechodniów: wojna, wojna, Niemcy napadli na Polskę. Ja oczywiście, jeszcze dziecko, tego nie rozumiałam, ale matka moja płakała głośno, krzycząc te słowa, których nigdy nie zapomniałam: „moje dzieci, moja rodzina”, „o Mój Boże”, „Boże, czy słyszysz”, „Boże, gdzie jesteś”, a ja również razem z moją matką krzyczałam i płakałam.

Pamiętam jak koło domów wszyscy kopali okopy, schrony, w których przebywaliśmy, zwłaszcza kiedy samoloty spuszczały bomby na ludzi, domy, ulice. A już za kilka dni widziałam wojsko w mundurach, o którym wszyscy mówili, że to „hitlerowcy”. Kilkadziesiąt metrów od naszego domu to wojsko zajęło fabrykę zwaną „Farbową”. Nie wolno było palić światła w domach wieczorem i nocą, tylko lampki naftowe i karbidowe. Okna musieliśmy zasłaniać kocami, aby nie widać było żadnego światła. I nie wolno było wychodzić z domów wieczorem i nocą.

Ojciec mój w tym czasie został natychmiast zwolniony z pracy, gdyż pracował w fabryce żydowskiej „Hajdenkruk” w Grodzisku Mazowieckim przy ulicy Traugutta, żadnej innej pracy nie było. Brat najstarszy (miał wtedy 20 lat) przerwał pracę i ukrywał się, żeby Go Niemcy nie wywieźli na roboty. Więc ja 5-letnia, moja siostra 7-letnia i brat 9-letni lataliśmy do wojska niemieckiego pod bramę i prosiliśmy o jakieś jedzenie. Nawet nauczyliśmy się po niemiecku trochę słówek np. „Her byte braut”, „Her byte zupy”, „Her ich hunge” a najkorzystniej było nam prosić w czasie obiadu, kiedy żołnierze jedli obiad, więc wynosili w swoich menażkach resztki zupy, resztki chleba, co nie dojedli sami i wlewali nam w bańki kilkulitrowe, a to starczyło dla całej rodziny, a nawet dla sąsiadów, którzy również mieli dzieci, ale nie posyłali swoich dzieci, bo się bali i bardzo wstydzieli, ale my, moje rodzeństwo uchodziliśmy za odważne i cwane dzieciaki. Czasem zdarzało się tak, że żołnierz wziął naszą bańkę i przyniósł nam pełną zupy prosto z kuchni, z kotła, bo chyba ruszało go sumienie, że zlewki zjadamy. A nawet po całym chlebie nam przynosili, ale to rzadko. Również z nami chodziły pod koszary inne dzieciaki z całego Grodziska. (Ale już dziś minęło tyle lat, są ludźmi starszymi, dobrze lub bardzo dobrze im się powodzi, są lekarzami, są magistrami, mają doktoraty, są prawnikami, dużo już jest na emeryturze. Teraz nawet wstydzą się tamtych trudnych lat. Nie chcą o tym w ogóle wspominać.)

A kiedy nastąpiła zima, a o węgiel było bardzo, bardzo trudno, a i nie było za co kupić, więc, że mieszkaliśmy blisko stacji kolejowej – towarowej, biegaliśmy po węgiel jako po zdobycz. A starsze dzieci to nawet wchodziły na wagony, te odkryte, aby zrzucić trochę węgla i kto żyw zbierał ten węgiel do toreb i worków. A najlepiej jak była zima, to brało się ze sobą jakieś sanki, było lekko ciągnąć po

śniegu. Czasem po drodze do domu już sprzedaliśmy ten węgiel, bo ludzie nas tak prosili, a każdemu było ciężko.

Pewnego razu ja już 7-letnia, brat 11-letni i drugi brat 15-letni wieźliśmy na sankach węgiel do domu. Na ulicy niedaleko domu, dopadli nas tzw. „czarni”, to znaczy niemiecka policja kolejowa w czarnych mundurach, zbili nas pyłami, takimi gumowymi, a brat, ten najstarszy, uciekł do jakiegoś domu, wpadł pod łóżko, ale polecili za nim (było ich dwóch) wyciągnęli i tak Go zbili, że leżał później przez kilka dni. A ponieważ bili i kopali po głowie, to już do końca życia był głuchy na jedno ucho.

Ojciec był na liście do wywiezienia do Niemiec, więc zabrał tego brata już 15-16-letniego i pojechał szukać roboty, którą znalazł na wsi u gospodarzy we wsi Słupia koło Pływi i Skierniewic. Często tam chodziliśmy na piechotę z matką po żywność, bo przecież za żywność tam pracowali. Przywoziliśmy więc do domu jajka, mąkę, kartofle, mleko. Ciężka była ich praca. Pracowali od świtu do nocy. Spali nad oborą na sianie. Często kiedy tam spałam, płakałam, że śmierdzi, że zimno, a często kapało nam na głowy, gdy padał deszcz. Często również i mnie wysyłano paść krowy o godz. 4 rano i do obiadu stałam na nogach, bo była rosa i nie dało się usiąść. Też nieraz sobie popłakałam, ale matka kazała, więc musiałam się słuchać. Gorzej jak trzeba było iść do pociągu 7 kilometrów. Wtedy to było płaczu, nogi bolały, a tu jeszcze cośkolwiek trzeba było nieść, bo matka niosła też ciężary, więc i ja musiałam.

A już bardzo duże przeżycie to jak pewnego razu wracałyśmy z matką ze stacji kolejowej Pływi – w pociągu jak zwykle ogromny tłok, ścisk, a mojej matce zrobiło się słabo i zemdląła, a nie mogła leżeć, bo nie było jak, tylko osunęła się. Tak strasznie krzyczałam, że „moja mama nie żyje”, „ratunku”. Ludzie bardzo pomagali nam, okno otworzyli i jakąś wodą kropili, aż mama otworzyła oczy i odzyskała przytomność. Potem już długo nie jeździliśmy na wieś. Jeździła później moja starsza siostra Irena 17-18-letnia, również ze mną, bo byłam najmłodszą, ale i rozumną dziewczynką. Pewnego razu, kiedy pojechałam z siostrą na wieś do ojca i brata, była tam oblawa. Aresztowali również moją siostrę, a ja zostałam sama, kazali mi iść do pociągu i jechać do domu. Siostra nie chciała ode mnie odejść, trzymała mnie siłą, płakała i krzyczała, że mnie nie zostawi. Wtedy jeden z żandarmów zaczął ją bić jakimś prętem po nogach, po rękach, po plecach. A ja darłam się wniebogłose, ile sił, żeby nie bili mojej siostry, podleciałam do tego żandarma i łapałam go za nogi, klęczałam, ciągnęłam jego rękę, całowałam jego rękę jedną i drugą, a dwóch żandarmów odciągnęło mnie, a tamten bił siostrę dalej. Wsadzili ją na ciężarowy samochód, gdzie już było kilkanaście osób, a mnie jeszcze wypytywali gdzie z siostrą byłam, jak się nazywa siostry narzeczony, gdzie mieszka itp. Nie mogłam przecież mówić, że przyjechałyśmy do ojca i brata, bo może by tam po nich pojechali, więc mówiłam, że przyjechałyśmy do lasu zbierać jagody, że nie znam tu nikogo... Samochód z ludźmi odjechał, żandarmi i motory również. A ja sama szłam do stacji, bo dobrze znałam tę drogę. Zaraz przy stacji (Pływi) stał ten samochód ciężarowy, podleciałam do niego, stało przy nim dwóch żandarmów z karabinami. Zaczęłam płakać i prosić żeby puścili moją siostrę, bo ja nie trafię sama do domu do Grodziska. Na szczęście jeden z żandarmów rozumiał po polsku i był chyba dobrym człowiekiem i zapytał te słowa: „a która to ta twoja siostra”, kiedy pokazałam to powiedział: „Zabieraj tą swoją siostrę i uciekajta, tylko prędko i prosto do domu”. Siostra zeskoczyła i wzięła mnie za rękę, leciałyśmy ile tchu, a pociąg dopiero miał być za 5 godzin, więc siedziałyśmy w niewielkim rowie przy drodze, blisko stacji. Widziałyśmy jak odjechał ten samochód z ludźmi. Później mówiono, że wszystkich tych aresztowanych ludzi wywieziono i rozstrzelano w lesie jako partyzantów.

Pamiętam jak w 1942 roku został zabrany z domu mój najstarszy brat Stanisław przez dwóch hitlerowców w mundurach i przez dwóch folksdojczy, w cywilnych ubraniach. Został wywieziony do Warszawy na ulicę Skaryszewską, gdzie później jeździłam z matką codziennie, woziłyśmy bratu jedzenie. Najpierw pierwszego dnia krzyczałyśmy i pytałyśmy ludzi, którzy tam w oknach na piętrach wyglądali swoich bliskich, czy nie ma z nimi syna, młodego chłopca Stanisława Dudzińskiego i po jakimś czasie ujrzaliśmy mojego brata krzyczącego: „Mamusiu! Malcia! Tu jestem! Nie płaczcie. Niech się mamusia nie martwi, nic mi się nie stanie, wytrzymam, jestem młody i zdrowy”. I prosił o jedzenie. Ja, mała dziewczynka, podchodziłam pod budynek, przy którym stali żandarmi z karabinami i mimo ogromnego strachu, wiązałam paczki z jedzeniem do spuszczonego długiego sznurka. Brat i wszyscy w oknie wciągali te paczki w górę, do siebie. Najbardziej tragicznym momentem było, jak któregoś dnia zatrzymał się żandarm, złapał matkę za ubranie i kazał, żeby zabrała swoje dziecko i straszyl, wyciągając karabinem, a matka wołała, że „tam na górze jest też moje dziecko”. „Oddajcie mi mojego syna” wołała. Potem wzięła mnie za rękę i w tym strachu pojechałyśmy do domu do Grodziska Mazowieckiego, obiecując bratu, że jutro znowu przyjedziemy o tej porze. Tak było przez kilka dni. Ale pewnego dnia, gdy podeszłyśmy do tych okien, to usłyszałyśmy: „Pani syna już nie ma, został gdzieś wywieziony”!!! Ileż lez moja matka wylała, a z nią ja również. Wracając do domu całą drogę wołała: „Zabrali mi syna, wywieźli mi syna! Gdzie jest mój syn?”, ale odpowiedzi nie było, wszyscy słuchali, wszyscy patrzyli na nas i to było normalne, bo niejedna matka tak płakała i niejeden ojciec dusił w sobie żal, niejedną siostrę ścisnęło serce. Kiedy nadszedł pierwszy list od mojego brata z Niemiec, gdzie został wywieziony na roboty, matka czytała sama nie dała nikomu czytać, chociaż ukończyła tylko trzy

klasy podstawowe przedwojenne i to takie komplety przez kogoś nauczone – jak mówiła. Czytała więc ten list bardzo wolno i kilka razy, a łzy jej spadały jak grochy. Z matką płakaliśmy wszyscy, bo wiedzieliśmy, że to coś złego, coś strasznego się dzieje. Nie zapomnę jak matka czytała i w pewnym miejscu bardzo, bardzo głośno krzyknęła: „Jest silny i zdrowy! Wytrzyma! Musi wytrzymać! Będę się modlić! Wszyscy będziemy się modlić do Boga, żeby miał Go w swojej opiece!” Jak się okazało, brat pisał, że nie wytrzyma tej pracy, bo musi nosić ciężkie wory węgla na różne piętra, bolą go bardzo plecy i nogi, że pracuje w składzie węgla i że trafił do bardzo niedobrych ludzi, którzy go źle traktują.

A na końcu napisał, że przesyła swojej małej siostrzyczce, to znaczy mnie, książkę z obrazkami, niech tylko dobrze przeczyta i obejrzy. Matka zaczęła coś się domyślać i szukać w tej książce. Jak się okazało w okładce było zaklejone, jak pamiętam, 100 marek lub dolarów – to była wielka, rodzinna tajemnica, a zwłaszcza dla dzieci. Musieliśmy przyrzekać, że nikomu nie powiemy o tym, chociaż nieraz chętnie byśmy się pochwalili. Wielka to była radość, zaczęliśmy wyliczać, co za to kupimy, a gdzie to się sprzeda te marki. Wiem tylko tyle, że dłuższy czas matka kupowała żywność za te pieniądze i żyła tą nadzieją, że na pewno syn jeszcze przyśle, że nam bieda nic nie zrobi, ale nie przysłał, a każdy list i koperta były dokładnie przeglądane.

Pewnego razu matka wzięła starszą siostrę, 18-19-letnią, i mnie, 8-9-letnią do miasta, jak się okazało weszliśmy do takiego biura, gdzie można było zapisać się do „folksdojczy” (tak to zapamiętałam). Wchodząc na pierwsze piętro matka i siostra zaczęły płakać i z powrotem wyszły na ulicę. Pamiętam jak matka tłumaczyła siostrze, że byłoby nam źlej, nie byłoby głodu i cała rodzina by miała dobrze, bo dużo znajomych tam się zapisało i nie mają biedy. A my trudności byśmy nie mieli, bo matka ma takie niemieckie nazwisko, Utwald z domu, więc problem z głowy. Ale jednak matka i siostra postanowiły wracać do domu. Ja nie wiele z tego rozumiałam, ale zastanawiałam się, że skoro będzie nam tak dobrze żyć, to dlaczego one wróciły do domu. Ojciec i ten brat 16-letni Zdzisław nie wiedzieli o tym, bo cały czas byli na wsi i pracowali, do domu bali się przyjechać, żeby ich Niemcy nie złapali i nie wywieźli. A ja z siostrą i bratem młodszym Czesiem (było nas przecież sześcioro) dalej prosiliśmy o chleb i zupę i nadal lataliśmy po węgiel na stację.

Pewnego dnia (było to na jesieni) zawołały nas z ulicy dzieciaki, było ich kilkoro w wieku 10-12 lat; „choďte, idziemy na węgiel”. Matka nie chciała nas puścić, krzyczała z okna „nie wołajcie ich, idźcie sami”, ale ja z bratem zaczęliśmy prosić, żeby nas puściła, że zaraz przyjdziemy, że tylko troszkę w torby uzbieramy i zgodziła się. Poszło nas razem kilkoro dzieciaków, kiedy już byliśmy bliżej stacji usłyszeliśmy strzały z broni, cała grupa się rozprysnęła, brat złapał mnie za rękę i zaczęliśmy biec w stronę domu. Brat trochę starszy leciał szybko, ja wolniej, ale On mnie trzymał coraz mocniej, a strzały były coraz częstsze i tylko pamiętam takie ognie, takie gwiazdki i świst koło moich uszu. Ale ja wcale nie zdawałam sobie sprawy co to się dzieje, co to może być. Nagle brat mój puścił mnie i upadł krzycząc: „leć po mamusię, przyprowadź mamusię, no leć, słyszysz!” Uklęknęłam koło niego i widzę jak krew się z niego leje, zaczęłam Go podnosić i prosić „wstań, wstań, prędzej, uciekajmy”, ale na próżno. Bezradna zaczęłam biec do domu po mamusię tak jak kazał brat. Leciałam ile sił, a siły było coraz więcej i więcej. A droga wydawała mi się daleka. Wpadłam z krzykiem do domu, że Czesio leży na ulicy i że leci z Niego krew. Matka słysząc te słowa doznała szoku, zemdląca. Pamiętam, jak sąsiadka przyniosła od siebie amoniak i dawała matce pod nos, aby oprzytomniała.

Po jakimś czasie, gdy matka doszła do siebie wzięła mnie za rękę i poszliśmy w to miejsce, gdzie leżał Czesio, ale już tam jego nie było, tylko została kałuża Jego krwi. Ktoś powiedział, że zabrali go robotnicy – kolejarze do szpitala. Więc poszliśmy z matką do szpitala, ale portier oznajmił nam, że ten chłopiec, co go przynieśli kolejarze, już nie żyje, leży w korytarzu na noszach, ale matki nie wpuszczono, więc krzyczała i płakała przed budynkiem, pamiętam jak wynosili jej lekarstwa i uspokajali, a ludzi było pełno wokół nas. Nie zapomnę nigdy jak płacząc krzyczała te słowa: „Hitlerowcy zabiliście mi dziecko, dranie, zbrodniarze dlaczego Go zabiliście?”, „Niech was Bóg ukarze”. Sąsiedzi przywieźli tego trupka do domu i trzeciego dnia został wyprowadzony na cmentarz w Grodzisku, na pogrzebie było bardzo dużo ludzi, dużo dzieci i młodzieży. To była rozpacz. Zdawało się że drzewa płaczą i wszystko wokoło płacze, ale matka chociaż już nie miała sił, chociaż była zachrypnięta z krzyku i płaczu, wciąż powtarzała już coraz słabiej: „Hitlerowcy, zbrodniarze”, „Niech Bóg was ukarze za moje dziecko”. A później długo, długo, codziennie, na cmentarzu powtarzała te same słowa.

Matka długo nie napisała do brata do Niemiec o śmierci Czesia, a miał wtedy, kiedy został zabity 12 lat. A jak się później okazało zabili go Niemcy tak zwani „czarni”, strzelali do wszystkich, kto wchodził w tym czasie na stację towarową, bo dużo ludzi w tym dniu przyjechało po węgiel. Ale to nie tylko w tym dniu, również przez następne dni zabijali, taka podobno była akcja. Pamiętam jak byliśmy na innych pogrzebach u nas w Grodzisku.

Po jakimś czasie, gdy matka już zdecydowała się napisać o tej tragedii temu bratu do Niemiec Stasiowi, on postanowił za wszelką cenę przyjechać do domu, ponieważ moja rodzina była taka kochająca się, może brat myślał, że jak on wróci do domu to może matce będzie źlej, że może on jakoś wpłynie na to wszystko, podzieli ból matki i rodziny. Wiosną 1944 roku uciekł z Niemiec. Jechał pociągami do Pol-

ski, ale pociąg był wyjątkowo dokładnie kontrolowany, prawdopodobnie ktoś musiał nadać, sprzedać po prostu brata, może w kasie gdzie kupował bilet, może konduktor w pociągu. Brata wyciągnięto i tylko dostaliśmy list od Polaka, kolejarza z Sierpc, nazwisko Wiśniewski, że w Sierpcu został pochowany, że dostał 3 kule, 2 w brzuch. Do domu żandarmi przynieśli nam zawiadomienie o śmierci i dokumenty brata.

To było dla nas straszne, a zwłaszcza dla matki, która już przestała wierzyć w Boga. Podkreślała wciąż, „że Boga nie ma, że to Bóg tak kieruje, ale dlaczego?”

Długo nie wierzyła w śmierć swego syna Stanisława, wierzyła, że wróci, że to nie on lecz jakiś inny chłopak zabity, że tylko dokumenty są zamienione. Raz na tydzień chodziła do wróżki, która opowiadała różne rzeczy, dając nadzieję, że brat mój żyje, że się ukrywa albo przebywa w ciężkim obozie. Ale żyje i wróci.

Pamiętam, jak na komodzie w dzień jego urodzin, imienin stawiała kilka fotografii i zapalała świeczki i modliła się, żeby Bóg Jej oddał syna, kazała zawsze klękać mnie i moim dwóm starszym siostrą przy sobie i modlić się, aby brat nasz wrócił. A on jednak nigdy już nie wrócił.

A kiedy wybuchło Powstanie Warszawskie, matka moja zajęła się rodziną z Warszawy. Przyjechało dziewięć osób, a właściwie to z Warszawy wszyscy przyszli piechotą, z nimi dwoje dzieci, chłopcy 8 i 5 lat. Pamiętam, jak opowiadali wszystko dokładnie, jak Warszawa walczy, jak już jest zrujnowana. Jak byli pędzeni z Warszawy nocą i dniem, wszystko zostawili w domu, wzięli tylko to co w rękę. Moja rodzina składała się z 8 osób, ale dwóch braci już nie żyło, a ojciec i Zdzisław pracowali, ukrywali się na wsi, więc matka i nas trzy przyjęliśmy do swego mieszkania (pokój z kuchnią) jeszcze rodzinę 9 osobową z Warszawy, z powstania. Było nam bardzo ciężko. Trudne warunki dawały nam się we znaki, trzeba było chodzić po wodę z wiadrami na 3 podwórko, ponieważ w domu, w którym mieszkaliśmy nie było w ogóle wody, a ubikacja stała na końcu podwórka, najgorzej było w zimę, kiedy były mrozy, śniegi i wiatry. Nawet ze spaniem w zimie było dużo gorzej, bo kilka osób musiało spać na podłodze jak śledzie. U sąsiadów również było dużo tzw. warszawiaków, a również wśród nich dużo Żydów, pamiętam, że prawie wcale nie wychodzili z mieszkania. Pani Kizeweter opuściła swoje mieszkanie i wyjechała gdzieś do swojej rodziny, a sześć osób żydowskich, w tym dwóch mężczyzn, zostało w tym mieszkaniu dłuższy czas, nie wychodząc prawie z niego, sąsiedzi i my dzieci robiliśmy im często zakupy, za które zawsze dostawaliśmy parę groszy.

Najgorsza sytuacja była wtedy jak załęgło się u nas w domu robactwo – pchły, wszy i pluskwy, ta plaga nie dawała nam spokoju. W dzień jakoś wytrzymywaliśmy, ale w nocy to była męczarnia, całe noce drapaliśmy się wszyscy, zdejmowaliśmy z siebie nocną odzież i szukaliśmy centymetr po centymetrze tego robactwa, którego długo nie dało się wytepić, a smarowaliśmy się sabadylą, nawet naftą, bo podobno to pomagało, zwłaszcza głowy smarowaliśmy naftą i zawijaliśmy na kilkanaście godzin ręcznikami. Zlewaliśmy łóżka drewniane gotującą wodą, która miała zabijać pchły i pluskwy, ale to długo, długo jeszcze trwało zanim się wytepiło. Niestety nie było dobrych środków, nawet o mydło było bardzo trudno, z trudem gdzieś się trafiło, to było wielkie szczęście.

W czasie, kiedy w Warszawie wybuchło powstanie, kiedy ludzie walczyli na śmierć i życie, każdego dnia wieczorem razem z sąsiadami wchodziliśmy na dach dymnikiem na wysokość 3 piętra i obserwowaliśmy ogień i huk armat, karabinów, które dochodziły z Warszawy, każdy widział cząstkę tej tragedii na swoje własne oczy i każdy chciał chociaż troszkę zobaczyć i usłyszeć, po prostu byliśmy świadkami, chociaż jako dzieci nie wszystko właściwie rozumieliśmy, ale płakaliśmy razem z tymi z Warszawy i krzyčeliśmy: „Warszawa pali się”, „Warszawę spalili Hitlerowcy”, „Warszawy nie ma”. I tak dzień po dniu obserwowaliśmy tę płonąca Warszawę.

A w czasie, kiedy w Warszawie lała się krew, kiedy walczyli i ginęli ludzie moja starsza siostra, 19-letnia Irena wychodziła za mąż, brała ślub w kościele w Grodzisku Mazowieckim. Matka bardzo ją do tego namawiała, bo bała się o córkę, ponieważ już przychodzili po nią żandarmi, bo miała być wywieziona do Niemiec, a zamążpójście miało ją o tego uchronić (i chyba tak było). Więc odbył się ślub, jechaliśmy wszyscy jedną taką dużą furmanką, gdzie było położonych kilka desek w poprzek, a w środku młoda para. Ona ubrana na białą, młody ubrany w czarny garnitur i białą koszulę. Zgłosił się z harmonią jakiś sąsiad, aby trochę zagrać (taki samouk), jedyny brat ojca z żoną, kilka osób sąsiadów oraz rodzina nasza i ta rodzina z Warszawy z Powstania. Pamiętam, że meble były złożone razem w jednym kącie i dwa stoły, na których leżało jedzenie i bimber, który narzeczony siostry zrobił sam, gdzieś na wsi niedaleko. Ponieważ była już godzina policyjna, po 22:00 patrol niemiecki usłyszał z ulicy muzykę (harmonię) grającą niby cicho i weszli do naszego mieszkania na pierwszym piętrze i krzyčeli co tu się dzieje. A stryj pod wpływem bimbru zaczął energicznie odpowiadać, że jest wesele, to nam wolno itd. Żandarmi go wyprowadzili z domu, a on wyrwał się i uciekł w pole. Wtedy zaczęli za nim strzelać w ciemno i trafili go w nogę i rękę, przewrócił się i tak leżał w bruździe w kartoflach do rana. Skoro świt, sąsiadka z drugiego piętra pani Czarkowa usłyszała jęki ze swego okna, przyszła i powiedziała nam o tym i natychmiast przynieśliśmy go do domu, zatamowali krew, przyszedł lekarz, a ponieważ nie

było groźnych ran wszystko zrobił na miejscu i stryjowi nic nie groziło złego, po kilku dniach było wszystko dobrze.

I tak dzień za dniem, tydzień za tygodniem czekaliśmy wszyscy znajomi i cała rodzina na jakiś cud, którego nie mogliśmy się doczekać. A ja z siostrą Wandą z tą przedostatnią czyli piątą z kolei, wtedy już 12-letnią, wciąż latałyśmy do wojska niemieckiego w pobliżu i wciąż prosząc: „Her byte brouf”, „Her byte zupy”, pod koniec roku 1944 wojsko niemieckie z pobliskiej fabryki gdzieś odjechało, więc nie było już zupy i chleba.

W połowie stycznia, wkroczyło wojsko radzieckie, wielka, ogromna to była radość jak się mówiło, że ruskie wkroczyli do Warszawy, że ruskie gnają Niemców na Berlin, że Hitler skończony. Pamiętam dzień, w którym radzieckie wojsko na czołgach jechało naszą ulicą – szosą na Błonie, młodzi chłopcy, którym moja matka, moje siostry, moi sąsiedzi wynosili jakieś kanapki i rzucaliśmy na te czołgi i cieszyli się ci żołnierze, uśmiechali się, a my posyłałyśmy im całusy krzycząc „spasiba”, machaliśmy do nich szalikami, chusteczkami, czapkami.

Zapamiętałam również jak bomby, które spadały w naszej okolicy, a głównie na szosie trafiły w tych radzieckich żołnierzy, których ludzie zanieśli na cmentarz w Grodzisku i tam ich pochowali, nawet są do dziś ich groby, często ja także zapalam tam świeczki i kładę skromne kwiaty. Pamiętam, że dłuższy czas w okopach na naszej ulicy koło naszego domu leżały czołgi, samochody i trupy w wodzie zmieszanej z benzyną. I bardzo długo wszyscy baliśmy się tam przechodzić. Pamiętam, że w domu, gdzie mieszkaliśmy zrobiło się pusto, ludzie pomału powrócili do Warszawy lub znaleźli gdzieś mieszkanie. A nam zostały powybijane szyby przez bomby zrzucone z samolotów, brud został i robaki, których długo nie mogliśmy wytepić oraz bieda i nędza. Ojciec i brat Zdzisław wrócili ze wsi. Wszyscy długo nie mogliśmy się pozbierać. I wreszcie koniec wojny. Polska wyzwolona. To była radość, radość i łzy, łzy szczęścia.

Wiedzieliśmy, że już nie będzie łapanek, że już nie będą zabijać, nie będą niszczyć i rujnować naszego kraju. I tak jak ja zapamiętałam, będę pamiętać zawsze, do końca mojego życia. A na wieczną pamięć stoi grób murowany na cmentarzu w Grodzisku, a na nim napis: Stanisław – lat 22, Czesław – lat 12, zabili ich hitlerowcy, Rok 1943-1944, a takich grobów jest na cmentarzu dużo i nie tylko w Grodzisku, na wszystkich cmentarzach.

Jeżeli chodzi o szkolne wspomnienia to pamiętam jak brat Zdzisław i Czesław i siostra Wanda musieli przerwać szkołę podstawową, która mieściła się w dzielnicy Łąki z powodu wybuchu wojny, a w szkole tej zamieszkali wyżsi oficerowie niemieccy i cała tak zwana „SS”. Tam również latałyśmy całą gromadą po chleb i zupę, bo tylko dzieci mogły tam bliżej podchodzić, a starszym nie było wolno. A naszą szkołę zorganizowano w fabryce koronek tzw. ul. Koronkowa. Pamiętam, że tylko chodziłam po południu i że było w tej sali bardzo ciasno. Pamiętam, że często dostawałam piórnikiem drewnianym w łapę, i prawą, i lewą. Czasem aż miałam popuchnięte ręce. To była kara za to, że się spóźniłam na lekcję, a przecież najpierw musiałam iść do Niemców po chleb i zupę. I wreszcie nie chciałam chodzić do szkoły, więc cały 1 rok nie chodziłam wcale, było to w trzeciej klasie. Ale ukończyłam szkołę podstawową w roku 1948-1949. A rodzeństwo moje, dwóch braci i siostra, w czasie wojny nie chodzili wcale do szkoły, dopiero kończyli podstawową szkołę w latach 50 jak już byli dorośli.

Pragnę mocno podkreślić, że to wszystko co opisałam jest prawdą i jest moim własnym przeżyciem. Napisałam tak jak tylko potrafiłam. Z całego rodzeństwa zostałam tylko ja jedna.

Nie liczę na żadną nagrodę, bo nie dla nagrody to wszystko opisałam, a tylko dla wspomnień, aby nigdy tamte lata nie były zatarte, zapomniane.

Dlatego więc gorąco proszę Komisję o opinię na temat mojego wojennego, tragicznego dzieciństwa, o którym z różnych powodów już nie mam komu powiedzieć.